

BOYS OF TOMMEN #3, CZĘŚĆ 2

SAVING 6

Chciał ją chronić, być blisko niej
i zatrzymać tylko dla siebie

CHLOE WALSH



Tytuł oryginału: *Saving 6*

Copyright © Chloe Walsh 2023

Copyright © for Polish edition by Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne, Oświęcim 2024
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Magdalena Mieczkowska

Korekta: Julia Deja, Anna Miotke, Daria Raczkowiak

Skład i łamanie: Mateusz Bartel

Oprawa graficzna książki: Paulina Klimek

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 978-83-8362-614-7 · Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne · Oświęcim 2024
Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 www.wydawnictwoniezwykle.pl
✉ niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl
📘 Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne
📷 [niezwyklezagraniczne](https://www.instagram.com/niezwyklezagraniczne)
✂ [Wyd_NieZwykle](https://www.tiktok.com/@Wyd_NieZwykle)
🎵 [wydawnictwoniezwykle](https://www.youtube.com/channel/UC...)

CHLOE WALSH

SAVING

6

BOYS OF TOMMEN #3, CZĘŚĆ 2

**Tłumaczenie
Mateusz Grzywa**

PIĄTY ROK

MOŻE TO JEDNAK TY JESTEŚ NIEBEZPIECZNA

7 stycznia 2004

Joey

Ten dzień zaliczył tyle szalonych zwrotów i zakrętów, że nadwyrzyłem sobie kark, gdy próbowałem za nimi nadażyć.

Zaczął się od bójk z tatą, potem ten cały cyrk w szkole, a skończył się pocałunkiem.

Miękkie wargi Molloy, jej jęki w moje usta, nacisk jej ciała. W tej chwili nie mogłem tego wszystkiego znieść.

Byłem kompletnie wytracony z równowagi, rozjebany przez dziewczynę, która trzymała właśnie ręce w moich włosach.

Jej zapach, taki świeży i uzależniający, atakował moje płuca, wgniatał w glebę mocniej niż najsilniejsze ciosy staroego.

To właśnie ten zapach zapamiętałeś, szybko zorientował się mój mózg, i te włosy.

Moje serce szalało bardziej niż kiedykolwiek na jakichkolwiek prochach; trzymałem ją w ramionach, walczyłem z paniką, która zakradała mi się do krtani, i pozwoliłem sobie, żeby w końcu przestać się opierać porywającej mnie fali uczuć.

Uczuć, w których tonąłem od pięciu lat.

Kiedy zobaczyłem ją w salonie, a ten śmierzdzący śmieć gapił się na nią jak na kawałek świeżego mięcha, prawie postradałem zmysły.

Nawet gdybym żył na tym padole znacznie dłużej, i tak nie potrafiłbym opisać głębi strachu, który poczułem, gdy ten stary bydlak skupił na niej uwagę.

Nigdy nie zrozumieję, jak udało mi się zachować opanowanie, ale potrzeba zapewnienia jej bezpieczeństwa była tak silna, że konieczność zabrania jej jak najdalej od ojca przyćmiła wszystko inne.

Molloy miała nade mną władzę i oboje o tym wiedzieliśmy. Tak długo próbowałem postępować jak należy, trzymać się od niej z daleka, chociaż raz w życiu być dobrym człowiekiem. Ale dopadła mnie w chwili słabości, a moja stanowczość kruszała z każdym ruchem jej języka.

Nie potrafiłem jasno myśleć.

Miałem pustkę w głowie i ster przejęło ciało.

Nie byłem w stanie myśleć o kłótni z rodzicami ani o zawiąsach, które dostałem w szkole. O dziewczynach, które gnębiły moją siostrę, o zmianie w warsztacie, na którą na pewno się spóźnię.

Potrafiłem myśleć tylko *o niej*.

Aoife Molloy pochłaniała mnie do tego stopnia, że na moment przestałem uważać, że cały świat jest spierdolony.

Moje ciało tętniło ekscytacją i strachem. Pozwalałem sobie czuć coś innego niż tylko beznadzieję, choć raz cieszyłem się byciem we własnym ciele, we własnej głowie, bez konieczności stosowania znieczulenia.

To kurewsko niebezpieczne usta, upomniałem się, *nie łudź się zbyt*.

Przemoczony od sikającego na nas deszczu, poczułem, że przeszywa ją dreszcz. Pomimo oporów zmusiłem się, żeby się od niej odkleić.

– Jest ci...

– Nawet nie myśl o przerwie – rzuciła na bezdechu, wetknęła palce za gumkę moich dresów i przyciągnęła mnie z powrotem. – Nie trzęsę się z zimna – burknęła, oplatając mnie nogami w pasie. – Telepie mną, bo jestem napalona, więc zamknij się i całuj.

– Jezu – wymamrotałem, jej niezdolna do owijania w bawełnę natura kręciła mnie jeszcze bardziej niż zwykle. – Może to jednak ty jesteś niebezpieczna.

– Może i jestem – przyznała, wsuwając dłoń pod mój T-shirt. – Boże, jaki jesteś twardy – jęknęła mi w wargi, wodząc ręką po moim brzuchu.

– Molloy, mój fiut jest trochę niżej – zadrwiłem.

– Zabawne – odrzekła. – Nie mówiłam o bestii, tylko o twoim brzuchu... – wyjaśniła, po czym podniosła spód mojej koszulki i porządnie się przyjrzała, co mam do zaoferowania. – Tak, bez wątpienia mówiłam o tym sześciopaku.

– Podoba się widok?

– No co? – Wyszczrzyła się bezwstydnie. – Zawsze sprawdzam towar przed zakupem.

– No i?

Wypuściła powietrze z uznaniem i pokiwała głową.

– Joeyu Lynch, jeśli chodzi o ciebie, byłam kupiona już dawno temu.

Jej słowa coś ze mną zrobiły, naprawdę nieźle najebały mi w głowie, więc gdy ponownie wessała mnie w objęcia i pocałowała, nie widziałem już nic poza nią.

Ostrożnie, rozkazał bijący mięsień w mojej piersi, bo jeśli ją tu wpuścisz, jeśli się w niej zadurzysz, to już się nie podniesiesz.

Zapomnij o tych bzdetach, przecież ona już tu jest.

Zatrzymaj ją.

– O mój Boże, on chyba właśnie ją zapłodnił – odezwał się gdzieś za nami kobiecy głos.

– A czego się spodziewałaś? Mówiłam ci, że on nie bawi się w związki. Jezuu, czekaj! Czy to Aoife Molloy?!

Molloy odskoczyła, jakbym ją oparzył, i spojrzała ponad moim ramieniem w miejsce, z którego dochodziły wkurwiające dziewczęce głosiki.

– Jasna cholera – jęknęła, zaciskając uda na moich biodrach jak imadło. – Przyłapani.

Do kurwy nędzy.

Molloy chrząknęła i powiedziała:

– Eee... hej, Rebecca. Hej, Danielle.

Zerknąłem na swój dom i pierwszy raz w życiu naprawdę chciałem tam wrócić.

Jezus Maria.

Stłumiłem jęk zawodu, spuściłem głowę na jej ramię i gotowałem się na gównoburzę, która w tej sytuacji po prostu musiała się rozpętać.

To WSZYSTKO SPADA NA CIEBIE

7 stycznia 2004

Aoife

– Czy ja naprawdę widzę Aoife Molloy i Joeya Lyncha między jej nogami? – pytała spod różowej parasolki Rebecca z teatralnym zdumieniem. Jej kumpela była tuż za nią. – I to za plecami swojego chłopaka! – Posłała mi pełne napuszonej wyższości spojrzenie i z szyderczą przyganą dodała: – Do tego na murku przed jego domem! Nieźle, Aoife, klasa. Prawdziwa klasa!

– Och, spadaj, Rebecca – burknęłam. Nie zamierzałam się przejmować jej zasmarkanymi opiniami. – Tylko się całowaliśmy, nie pieprzyliśmy się, więc stonuj z tym niedowierzaniem. Nic wielkiego się nie dzieje.

– Joey? – wykrztusiła Danielle, zauważyłam z grozą, że po jej policzkach cieką łzy. – Co ty z nią robisz?

– Do kurwy nędzy... – wymamrotał Joey pod nosem. Zrobił głęboki wdech, odsunął się ode mnie i spojrzał na nasze koleżanki z klasy. – Dziewczęta... – powitał je i kiwnął głową. Był cały zarumieniony, miał wargi nabrzmiące od pocałunków. Stał przede mną i powiedział: – A co wy robicie w moim zakątku miasta?

– Danielle cię szukała – warknęła Rebecca, wskazując na zapłakaną przyjaciółkę. – Chciała sprawdzić, czy po zajściu w szkole wszystko u ciebie okej. Głuptaska z niej, co?

– Tak, cóż, u mnie dobrze.

– Ach, tak – załkała ochryple Danielle. – Widzimy, że u ciebie *dobrze!*

– Nie zaczynaj – burknął Joey ostrzegawczo. – Nie składałem ci żadnych obietnic.

– Uprawiałaś ze mną *seks* niecały tydzień temu! – prawie wrzasnęła. – A teraz... teraz... – Pokręciła blond głową i spiorunowała mnie wzrokiem. – Aoife, co do cholery?! Powinnaś być moją przyjaciółką! Co ty tu w ogóle robisz?!

Powinnam?

Myślałam, że jesteśmy zwykłymi koleżankami z klasy, a nie świetnymi kumpelami.

– Hej! – Zeskoczyłam z murku i podniosłam obie ręce. – Nie wiedziałam, że masz z nim coś poważnego.

– Bo nie ma – zaznaczył natychmiast Joey. – Nic nie mamy, poważnego ani niepoważnego.

– A ja tu tylko... – urwałam i wzruszyłam ramionami. – Też sprawdzałam, co u niego.

– Kłamiesz! – wrzasnęła Danielle, a jej twarz nabrała brzydkiej, purpurowej barwy. – Widziałaś nas razem wtedy w nocy. Dobrze wiedziałaś, co się między nami dzieje.

– Wiedziała? – burknął Joey. – No to przynajmniej jedno z nas wiedziało.

– Mogłaś sobie sprawdzać, co u twojego własnego chłopaka – syknęła oskarżycielsko Rebecca, która włączyła się do zadymy i wymierzyła we mnie palec. – Pamiętasz Paula?

– Och, skończ już, Becks – syknął Joey. – Jemu też daleko do ideału.

– Właśnie, czy Paul wie, co tu kombinujesz? – zapytała Danielle, biorąc się pod krągłe boki.

– Jeszcze nie – odparłam spokojnie, choć bynajmniej nie byłam spokojna. Miałam ochotę wyciągnąć komórkę

z kieszeni i od razu do niego zadzwonić. – Ale jestem pewna, że z przyjemnością mu powiesz.

– Och, tego możesz być pewna. – Danielle spiorunowała mnie wzrokiem. – Wpadnie w szal.

– Śmiałe założenie, że mnie to obchodzi – odparowałam i jęknęłam w myślach, bo jak widać, nie mogłam się powstrzymać przed pogłębianiem dołka, w który wpadłam.

Aoife, cicho już, to ty tu dałaś ciała. Cichutko.

Rebecca zmrużyła oczy, też wzięła się pod boki i również jadownicie na mnie spojrzała.

– To, że nie szanujesz własnego związku to jedno, ale związek Danielle mogłaś oszczędzić!

– Jaki związek?! – zapytał ostro Joey, wyrzucając ręce do góry. – Bo ze mną na pewno nie jest w żadnym zasranym związku!

– Och, Joey... – załkała Danielle, przykładając dłoń do serca. – Jak mogłeś?

– Nie, nie, nie, bez takich. Żadnych „och, Joey” ani „jak mogłeś”, ani innych bzdur – warknął, kręcąc głową. – Danielle, mówiłem ci, przecież ci, kurwa, mówiłem, że nie interesuje mnie nic poważnego. Mówiłem ci, że to jednorazowa akcja, a ty powiedziałaś, że ci to pasuje!

– „Jednorazowa”?! – Tym razem to ona spiorunowała go spojrzeniem. – Zapomniałeś o innych kilkunastu razach?

Auć.

– Przestań mi wciskać kit – odparował natychmiast. – Wyłożyłem ci kawę na ławę, powiedziałem, że nie interesuje mnie nic poza jedną nocką, a ty mnie w tym poparłaś.

– Cóż, kłamałam – zaszlochała.

– Cóż, ja mówiłem prawdę. – Joey, ewidentnie sfrustrowany, przeczesał włosy ręką i syknął: – To ty poleciałaś *na mnie*, pamiętasz? Zaoferowałaś się, a ja jasno przedstawiłem

swoje zamiary. Tamtej nocy wiedziałaś, w jakim stanie jest mój mózg. Wiedziałaś, że byłem w innym świecie. Niczego przed tobą nie ukrywałem, Dan, więc te łzy to nie moja, kurwa, wina.

– Joey, miej serce – warknęła Rebecca, gdy jej przyjaciółka na dobre się rozpląkała. – Dziewczyna naprawdę coś do ciebie czuje.

– To powiedz jej, żeby przestała! – Joey zasapał ze złości, wskazał palcem na Danielle i dodał zjadliwie: – *Obiecałaś*, że czegoś takie nie odstawisz!

– Wiem, ale...

– Żadnych „ale” – wysyczał. – Podobnie jak żadnych obietnic. Jestem wolny.

– Ty może i tak – wycodziła Danielle i wymierzyła we mnie palec. – Jednak ona nie.

– To, czy ona jest wolna, czy nie, to już nie wasza sprawa – powiedział Joey groźnym tonem. – Więc może zawróćcie dupska i zawijajcie się stąd, zanim zrobi się naprawdę niemiło.

– Do kogo dzwonisz? – wypaliłam na widok Rebekki, która z cwaniacką miną przykładała właśnie komórkę do ucha.

– Cześć, Paul. Tak, to ja, Becks.

Otworzyłam szeroko oczy.

– Wiesz co, jestem właśnie na Elk Terrace, i pomyślałam, że powinienesz wiedzieć, że właśnie widziałam twoją dziewczynę z Joeyem Lynchem.

O Boże, Boże.

– Mhm, właśnie tak. Tak, na serio, widziałam, jak się liźali.

– Jezu Chryste – jęknął Joey pod nosem.

Szczęka mi opadła.

– Co za suka.

– Tak, przysięgam – mówiła, szczerząc się złośliwie. – Nie, nie kłamię. Owijała się wokół niego jak bluszczyk.

– Uch – jęknęłam, chowając twarz w dłoniach. Słuchałam jej bezsilnie i miałam wrażenie, że żołądek wypadł mi przez tyłek na chodnik.

Co mogłam zrobić?

Wyprzeć się nie mogłam, to na pewno.

Przyłapały mnie na gorącym uczynku.

I tak zamierzałam przyznać się Paulowi, ale wyszłoby w cholerę lepiej, gdyby usłyszał to ode mnie.

Tak, bo gdy tylko Joey odwzajemnił mój pocałunek, moje uczucia, to wiedziałam, że nie ma już powrotu do udawania.

– O Boże, Joe... – jęknęłam, wrzeszcząc w myślach, ponieważ nagle do mnie dotarło, co tak naprawdę zrobiłam. – Jestem swoim ojcem.

– Co ty gadasz, Molloy?

– Tata. Jestem nim – wykrztusiłam, spoglądając na Joeya. – On zdradza, ja zdradzam! – Uniosłam ręce z przerażeniem.

– Oboje jesteście zdradliwymi jabłkami z tej samej zdradliwej jabłoni. Fuj – wyjęczałam kompletnie zdruzgotana.

– Nie jestem lepsza od niego.

– Wyluzuj – burknął, próbując mnie pocieszyć. – To był tylko pocałunek, a nie romans, Molloy. Jesteś zupełnie inna od ojca.

– „Romans”? – Wbiłam w niego wzrok, przestałam mrugać. – Jaki *romans*?

Wzruszył ramionami, ewidentnie poczuł się niekomfortowo.

– O Boże, wiesz, prawda? – zachłysnęłam się powietrzem, mój mózg natychmiast zajarzył. – Wiesz o innych kobietach? Wiesz, co przeszkrobał? Wiesz o romansach swojego taty?

Nie odpowiedział, ale też nie zaprzeczył.

– Wiedziałaś? – Pokręciłam głową. – Od początku wiedziałaś? I nie pomyślałaś, żeby mi powiedzieć?

– To nie moja sprawa – wydusił w końcu, zagryzając zęby. Emanował wyczuwalnym napięciem. Złapał mnie za rękę, odciągnął kawałek od dziewczyn i powiedział: – Pracuję z tym człowiekiem. Nie jestem jego niańką ani twoim szpiclem. Nie mieszam się w szajs, który mnie nie dotyczy.

Łało na nas, deszcz przykleił mu do czoła aureolę ciemnych blond włosów, krople skapywały mu z brwi na nos i dalej na usta. A mimo to trwał w idealnym, sztywnym bezruchu. I patrzył mi w oczy.

– Molloy, nie przeceniaj tego – powiedział żarliwie. – To zaniechanie, nie zdrada.

– Wydaje się zdradą – wydukałam, patrząc na niego. – Czuję się zdradzona.

W jego oczach błysnęły emocje, ale szybko się opanował i przywdział na twarz maskę.

– Tony zaproponował mi pracę, zaryzykował, gdy nikt inny nie chciał dać mi szansy. Zawsze byłem lojalny wobec twojego ojca, a nie wobec twojej matki.

– A co z lojalnością wobec mnie? – drążyłam.

Zacisnął zęby.

– To nie fair.

– Co ze mną, Joe?

– Molloy...

– O Boziu, macie właśnie pierwszą kłótnię? – wtrąciła rozbawiona Rebecca. – Bezcenne. Szybko wam poszło.

Dokładnie w tym momencie na ulicy ukazała się pędząca w naszą stronę niebieska toyota starlet.

Zahamowała z piskiem opon, drzwi po stronie pasażera otwarły się na oścież i Paul wyskoczył z auta swojego brata.

Cudownie.

Cudownie, kurwencja.

– To prawda?! – ryknął cały czerwony z wściekłości, ruszając prosto do mnie. – Różnałeś ją?!

– Co?! – Rozdziawiłam usta i pokręciłam głową. – Nie, uspokój się, z nikim nie spałam. – Doskoczyłam do niego, zanim do czegoś doszło, i położyłam mu ręce na piersi. – Paul, proszę cię, gdybyś dał mi chwilę, to wszystko bym ci wyjaśniła...

Urwałam, bo dosłownie odepchnął mnie z drogi, ponieważ chciał dopaść mojego partnera w zbrodni; miał mord w oczach.

– Nie mogłeś zostawić jej w spokoju, co?! – ryczał, mierząc się ze swoją nemezis tors w tors. – Musiałeś ją mieć. *Musiałeś* odhaczyć ją na liście.

– „Na liście”? – Joey zaśmiał się mrocznie i nie uchylił się przed wyzwaniem, zderzając się torsem z Pauliem. – Co ty pierdolisz?

– Nie miałeś prawa jej dotykać. – Paul wziął zamach i uderzył Joeya w twarz. – Nie miałeś prawa, do cholery!

Głowa Joya odskoczyła w bok. Wstrzymałam oddech ze strachu, co może zrobić w odwecie.

Nie musiałam wstrzymywać go długo, bo ułamek sekundy później Joey przygwoździł Paula do asfaltu.

– Najnowsze wieści, palancie, twoja dziewczyna mnie pocałowała – syczał Joey, skoczywszy na niego jak lew na gazelę, jego pięści spadały na twarz Paula niczym deszcz.

– Zamknij się, Joey – jęknęłam, chowając twarz w dłoniach. – Boże.

– Prawda boli, Molloy – syczał wściekle Joey, atakując Paula. – Tak jest, chuju. To ona wykonała pierwszy ruch.

– I niech zgadnę, ty nie byłeś zainteresowany?! – ryknął w odpowiedzi Paul.

– A *widziałeś* ją kiedyś? – szydził z niego Joey. – Oczywiście, że byłem. Byłem w chuj zainteresowany. I dalej jestem.

– Joey, przestań go prowokować... Billy, ani się waż – ostrzegłam, a później przeklełam z frustracji, bo brat Paula kompletnie mnie zignorował i wskoczył prosto do kotła.

– Złaz z mojego brata, śmierdzący ćpunie... – Billy złapał Joeya za koszulkę, ściągnął go z Paula, przewrócił i kopnął w brzuch.

Kopnął drugi raz, trzeci.

Kopał i kopał.

Jezu...

– O Boże, przestań! – krzyczała Danielle, zasłaniając twarz dłońmi.

– Zadowolone jesteście?! – rzuciłam ostro do obu dziewczyn, które obserwowały to wszystko z przerażeniem. – Patrzcie, co narobiliście!

– Co *ty* narobiłaś – wykrztusiła Rebecca słabym głosem. – To twoja wina, Aoife. To wszystko spada na ciebie.

– Właśnie – zapłakała Danielle. – Zobacz, co *narobiłaś!*

Tak, pomyślałam, rzucając się, żeby przerwać bójkę, *wiem*.

– Tak jest, chujku – szydził Billy, który unieruchomił Joeyowi ręce za plecami i teraz to Paul kopał i okładał go po brzuchu. – Już nie jesteś taki twardy, co, kurwa?

– Wypierdalaj – ni to wyrzęził, ni to parsknął Joey, który sapał i syczał z bólu po każdym uderzeniu buta Paula.

Krew tryskała strumieniem z jego warg, ale on tego nie zauważał albo miał to gdzieś, bo dalej prowokował Paula:

– Stary, niedziwne, że się wkurzasz. Pozwolić, żeby taka dziewczyna wymknęła ci się z rąk...

– Zabiję cię!

Joey go wyśmiał.

– Nie pokonałbyś nawet papierowej torby, cwelu!

– Przestańcie! – rozkazałam, ciągnąc Billy'ego za przypominające kamienny mur barki w skazanej na fiasko próbie odciągnięcia go od Joeya. – Puszczaj go.

– Ale nie mogę powiedzieć, żebym żałował, że odwzajemniłem ten pocałunek. – Joey wypluł wiadro krwi i wyszczerzył zęby. – Wróciłbym do tego w każdej chwili.

– Joe, Boże, przestań go prowokować! – błagałam, zataczając się do tyłu, bo Paul odepchnął mnie na bok. – Paul, daj spokój, przepraszam, okej? Przykro mi, że cię zraniłam, ale przestań już!

– Wal się, Aoife – wysyczał, wbijając pięść w brzuch Joeya. W życiu nie widziałam go w takiej furii. – Przy mnie odgrywasz królową lodu, machasz mi przed oczami dziewictwem jak pierdoloną marchewką, a wyskakujesz z majtek, gdy tylko ten śmieć pokiwa palcem. Tak?!

– O Boże, nic takiego nigdy nie miało miejsca! – wrzasnęłam na niego. – To był pocałunek, dobra?! Tylko pocałunek.

– Z nim nie ma czegoś takiego, jak tylko pocałunek – zachnął się Paul i uderzył Joeya jeszcze raz. – Mam nadzieję, że ci się podobało, bo kiedy z nim skończę, nie będzie miał zbyt całusnej buźki.

– Ej! – W tym momencie z domu Lynchów wyskoczył blondwłosy chłopiec i wybiegł zza murku, trzymając w zaciśniętych pięściach mop do podłóg. – Zostawcie mojego brata!

– Tadhg! – ryknął Joey, nagle ciężko dysząc, z paniką w oczach. Zaczął się rzucać, próbować wyrwać, widok brata uruchomił w nim instynkt samozachowawczy. – Wracaj do domu!

– Powiedziałem: odpierdolić się od mojego brata! – wrzasnął Tadhg, ignorując Joeya, i od tyłu zamachnął się mopem na nogi Paula.

– Ej, nie dotykaj go! – warknęłam, gdy Paul brutalnie go odepchnął. – To mały chłopiec.

– Twój brat to menda z poważnymi problemami w nauce, maluszku – drwił z niego Billy. – Więc przyjechaliśmy z bratem udzielić mu lekcji, którą dobrze sobie zapamięta.

– A może ja dam wam lekcję? – kipiał ze złości Tadhg i tym razem wziął na cel starszego Rice’a. – Jak uczciwie się bić. – Po tych słowach wbił koniec kija od mopa w twarz Billy’ego. – I jak nie być suczką na posyłki swojego brata.

Z nosa Billy’ego trysnęła krew, natychmiast puścił Joeya.

– Chryste! – ryknął, łapiąc się za nos obiema rękami. – Mały wariat!

Joey i Paul ponownie runęli na ulicę, pięści fruwały w tę i we w tę.

– Podoba się? Co? No to może mała powtórka! – Dzierżąc kij niczym zakichany mistrz Splinter z Żółwi Ninja, Tadhg ponownie go walnął, tym razem w krocze.

Billy zwałił się na kolana jak wór ziemniaków, złapał za przyrodzenie i głośno stęknął. Tymczasem młody poczuł zew krwi i grzmotnął go kijem w głowę.

Moją uwagę przykuły składane przez Paula obietnice bólu. Joey leżał na plecach na środku ulicy, a Paul siedział mu na klatce piersiowej.

– Nie mogłeś po prostu odpuścić – syczał Paul. – Mogłeś mieć każdą dziewczynę, której ci się zachciało... Co ja gadam, *miałeś* każdą dziewczynę, której ci się zachciało, ale to ci nie wystarczało, co?! Musiałeś ją też zniszczyć!

– Dawaj, ile wlezie, stary. – Joey nadal z niego szydził, choć jego głowa latała na boki pod siłą ciosów Paula, który był już

chyba wycieńczony po laniu, jakie wcześniej dostał. – Bo nigdy więcej nie dam ci takiego walkowera.

Powietrze wypełnił dźwięk syren, zobaczyliśmy niebieski błysk kogutów.

– O Boże, gliny! – usłyszałam krzyk Rebekki. Obie dziewczyny zwiały, zanim dojechał do nas radiowóz.

– Cholera – jęknęłam na widok zmierzającego ku nam pojazdu. – Przestańcie. Dosyć, obaj! – Podbiegłam i złapałam Paula za rękę, ale nagle zatoczyło mnie w tył i zobaczyłam gwiazdy, bo trafił mnie łokciem w twarz.

– Aua! – krzyknęłam, siła ciosu pozbawiła mnie równowagi i wylądowałam tyłkiem na asfalcie. Ból rozlał się po mojej kości policzkowej, a mój biedny, trafiony oczodół zaszczytał od łez.

– Patrz, co zrobiłeś, chuju! – Dobiegł do mnie ryk Joeya. – Spójrz na nią!

– Jezu, Aoife – krzyknął Paul i natychmiast się na mnie skupił. – Wszystko dobrze?

– Dobrze, dobrze... – wychrypiałam, trzymając się za oko. Okropny wibrujący ból rozsadzał mi głowę. – Tylko przestańcie się bić.

– Co tu się dzieje? – zapytał ostro policjant, wkraczając między nas. Za nim szło dwóch kolejnych.

Znakomite wyczucie czasu, pomyślałam cierpko, akurat gdy bójka się skończyła.

Billy i Paul natychmiast przeszli do ofensywy, przedstawiali swoją wersję wydarzeń, wrzucając Joeya pod przysłowiowy autobus.

– Było zupełnie inaczej – zaprotestowałam do policjantki, która spisywała zeznania w małym czarnym notesiku. – To tylko wielkie nieporozumienie.

– I wtedy on uderzył pierwszy – pieklił się Paul, kłamiąc bez mrugnięcia okiem, gdy tymczasem Joey siedział na ulicy w stoickim milczeniu i nawet się nie bronił.

– I to nie pierwszy raz – wtrącił Billy. – Dziś już wcześniej napadł mojego brata.

– Tak jest – zawtórował mu Paul. – I właśnie został zawieszony w szkole za złamanie nosa mojemu koledze, dziś na przerwie lunchowej.

– Kłamcy – wycedził Tadhg, którego twarz zrobiła się buraczkowa ze złości. – *On* go trzymał, a *on* – zawiesił głos i wymierzył oskarżycielski palec w Paula – kopał go wtedy po twarzy.

– Próbowałem chronić brata – zapewniał policję Billy. – Proszę pana, Paul nigdy nie miał kłopotów z prawem, żaden z nas. Może pan zapytać naszego ojca, nadinspektora Jerry'ego Rice'a.

Zmrużyłam oczy.

– Podpierasz się nazwiskiem, Billy?

– Ale on ciągle dręczy Paula.

– „Dręczy”? – Aż rozdziawiłam usta. – Dajże spokój, Billy.

– To prawda. Mój brat padł ofiarą bezlitosnej kampanii oczerniającej. Bałem się o jego bezpieczeństwo – kontynuował z pełnym przekonaniem. – Panie władzo, on jest niebezpieczny. Nie chcę myśleć, co mogłoby spotkać mojego brata, gdybym akurat nie mógł go ochronić przed tym szaleńcem.

Po spisaniu tony zeznań, wykonaniu paru telefonów i po kilku minutach wzajemnych pogawędek jeden z policjantów nas przeszukał, a na koniec wbił w Joeya surowe, nieustępliwe spojrzenie.

O cholera.

– Srasz na własny próg, Lynch? – zapytał, kiwając głową na dom. – Muszę przyznać, że to u ciebie nowość.

– Tak, no co mogę powiedzieć. Nie lubię rutyny. – Joey, wciąż ciężko dysząc, padł na plecy i podniósł nadgarstki. – Miejmy to za sobą.

Patrzyłam z przerażeniem, jak drugi policjant do niego podchodzi i brutalnie podnosi go z ziemi.

– Josephie Lynch, jesteś aresztowany za naruszenie paragrafu czwartego kodeksu karnego, czyli podejrzenie o napad...

– Co?! – ryknął Tadhg, oczy wyszły mu z orbit, a jego ręce wystrzeliły w powietrze w geście oburzenia. – Mówisz poważnie? To *oni* go bili *dwóch na jednego*.

– Nie masz obowiązku składać żadnych zeznań, ale wszystko, co powiesz, zostanie spisane i może zostać użyte przeciwko...

– Mamo! – zawył Tadhg, rzucając się sprintem do domu. – Chodź tu, szybko! Znowu aresztują Joeya!

– Czekaście, czekaście, czekaście... – bełkotałam, podbiegając do miejsca, w którym skuwali mojego, no cóż, *mojego* Joeya. – To jedno wielkie nieporozumienie.

– Co tu się dzieje?! – usłyszałam ostry głos ojca Joeya, który stanął w progu domu z puszką piwa w jednej ręce, pilotem od telewizora w drugiej i z papierosem balansującym między wargami. – O kogo tam chodzi? – zapytał Tadhga, mrużąc oczy.

– O Joeya! – krzyknął ochryple Tadhg, który nadal ścisnął w rękach kij od mopa i patrzył błagalnie na ojca. – Tato, proszę cię, zrób coś!

– Teddy, twój syn jest aresztowany – krzyknął do niego policjant. – Zgodnie z paragrafem numer...

– Tak, tak, tak – przerwał mu pan Lynch i machnął lekceważąco ręką. – Oszczędź mi. O co go oskarżacie?

– O napaść – wyjaśnił nieco skrepowany policjant.

– Napaść, co? – Przeniósł wzrok na syna. – Zrobiłeś to, chłopcze?

– Pewnie, że tak, *tatusiu* – odparł z przekąsem Joey, który aż promieniował napięciem.

– No to róbcie z tym małym partaczem, co tam, kurwa, chcecie – powiedział policji jego ojciec. – Niech sądy się nim zajmą. Tylko nie liczcie, że przyjadę po niego na komisarjat, jak ostatnio. – Odwrócił się w stronę Joeya i krzyknął: – Słyszałeś, mały fiucie?! I nie dzwoń do matki, żeby ratowała ci dupę. Tym razem sam sprzątaj własny bajzel.

Ze szczęką przy samej ziemi obserwowałam, jak pan Lynch ciągnie zapłakanego Tadhga do domu i zamyka drzwi.

Nie tylko mnie zdumiała reakcja ojca Joeya, bo gliniarz prowadzący chłopaka do radiowozu też kręcił głową i mruzczał coś pod nosem.

– Czekajcie – wypaliłam, wkraczając do akcji. – Panie władzo, proszę, nie rozumie pan. On wcale tego nie zaczął...

– Nie wysilaj się, Molloy – przerwał mi Joey i posłusznie dał się wsadzić do auta. – To nieważne.

– Nie, nie, nie... właśnie że ważne – protestowałam, patrząc bezsilnie, jak zamykają go na tylnym siedzeniu. – Joe...

Drzwi zamknęły się z trzaskiem, odcięły mnie od niego, mogłam tylko bezradnie patrzeć w jego zrezygnowane zielone oczy.

– Joe... – wyszeptalam, przykładając dłoń do szyby.

Widziałam, jak bierze ostry wdech, po czym zaciska zęby i odwraca wzrok, gdy drugi gliniarz zajął miejsce z tyłu obok niego.

Pozostali policjanci usiedli z przodu i odjechali. Zabierając go ze sobą.

Tym razem łzy napływające mi do oczu nie były wywołane bólem oczodołu.

Odwróciłam się i wbiłam wściekłe spojrzenie w Paula. Akurat wracali z bratem do samochodu.

– Jesteś z siebie zadowolony?!

– Nie waż się do mnie odzywać! – wysyczał i odwrócił się, żeby wycelować we mnie palec. – To spada na ciebie, Aoife. Do niczego by nie doszło, gdybyś nie skradała się za moimi plecami.

Podeszłam do niego wściekłe i pchnęłam go w pierś.

– Posłuchaj mnie, gnoju, może i nie powinnam się z nim całować, i przykro mi, że cię zraniłam, ale to nic w porównaniu z tym, co ty właśnie zrobiłeś.

– Zdradziłaś mnie! – ryknął mi w twarz.

– To był tylko pocałunek!

– Fizycznie może i tak, ale emocjonalnie romansujesz z nim od lat!

– Paul.

– A on sobie na to zasłużył. – Otaksował mnie wzrokiem z miną bezdenne go zniecierpliwienia. Wykrzywił usta z obrzydzenia. – Zresztą ty też, szmato.

– „Szmaty”? – parsknęłam gorzko. – *Boże*, jak ja się cieszę, że nie straciłam z tobą dziewictwa.

– Pewnie – wrzasnął coraz bardziej nakręcony. – Bo trzymałaś je dla niego, co? Chłopak, z którym byłaś cztery lata, nie mógł się do ciebie zbliżyć, bo wolałaś zostać kurwą jakiegoś ćpuna!

– Nie bądź śmieszny, Paul...

– Zanim ten tydzień się skończy, będziesz leżała na plecach z jego fiutem w środku – grzmiał cały czerwony,

wytrzeszczając oczy. – A zaraz potem mu się znudzisz. Jak Danielle i wszystkie inne. Puści cię po bandzie, kiedy tylko się tobą znudzi, a gdy ten dzień nadejdzie, *bo nadejdzie*, to nawet nie próbuj klękać i do mnie wracać.

– Wolałabym iść do zakonu, niż dać ci się jeszcze raz dotknąć, chuju! – zawołałam za nim.

– Pechowo – odkrzyknął przez ramię, wracając do samochodu brata. – Bo kiedy Joey Lynch skończy cię niszczyć, nawet zakonnice cię nie przyjmą.